

CHOPIN I INNI

Jarosław Iwaszkiewicz: „Lato w Nohant“. Komedia w 3 aktach. Reżyseria Marii Wiercińskiej, dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego, kostiumy Zofii Węglerkowej. Premiera w Teatrze Kameralnym w Warszawie.

Poeta i świat... artysta i świat... Temat stary, poszukiwany, nie dopiero w Młodej Polsce czy w latach Skamandra eksponowany na karty książek, na deski sceniczne. Iwaszkiewicz dał mu nowy wariant przez bardziej subtelne przeciwstawienie geniusza nie filistrom, mydlkom, kołtuonom — lecz ludziom utalentowanym, interesującym, „wyzwolonym“. A przecież pomiędzy nienajpodlejszym rzeźbiarzem Clesingerem i wybitną, uwielbianą przez współczesnych pisarką George Sand — a oklaskiwanym na salonach grajkim Chopinem jest przepaść, właśnie taka, jaka dzieli talent od geniuszu. To ostre skonstruowanie Chopina z jego otoczeniem uważać można za najlepsze artystyczne osiągnięcie Iwaszkiewicza w „Lecie w Nohant“, sztuce, która, jak wiemy, należy do najświetniejszych osiągnięć polskiego teatru dwudziestolecia. Z mniej rzetelnego kruszcza zbudowane jest trochę zarozumiałe przeciwstawienie porządnym Polaków niegodziwym Francuzom — ale ten czy inny zarzut roztrąca się pośród niewątpliwie wielkich zalet tej pięknej komedii.

Oczywiście. Iwaszkiewicz jest zbyt wybitnym artystą, zbyt doświadczonego autorem, by żywego Chopina brązować w pomnik z akademii, przemówień, czytanek szkolnych. Jego Chopin jest ludzki, jest nawet małostkowy, gdy awa turuje się przy podziale obiadowej pulardy — ale nie ludzmy się, idealizacja genialnego artysty pozostała w mocy, jest tylko

Inteligentniej podana niż przez zawodowych brązowników. Przykładem scena ostatnia: Chopin żyje tylko dla muzyki i przez muzykę i gdy odkrywa wreszcie tajemnicę sonaty h-moll (takim językiem trzeba o tym mówić) — wszystko dlań ginie, niknie, żyje tylko fortepian — chociaż artysta siedział już w powozie, mającym go uwieść do Paryża.

A tak nie było; nie w znaczeniu anegdotycznym, bo nie o nie chodzi, ale w tym najgłębszym znaczeniu, które twórczości nie odrywa od codziennego obrotu spraw życia, nie przenosi w rajską dziedzinę uludy.

Wbrew pozorom, jest „Lato w Nohant“ sztuką do trafnego wyreżyserowania niełatwą, do pełnego zadowolenia widza z pracy teatru trudną. Mieć wolno sporo pretensji do reżyserii Wiercińskiej, do faktu, że przedstawienie jest tak akademicko zimne, poprawne, nijakie. Nie budzi wzruszeń, nie podsyca, nie odtwarza tego uroku, którym wypełniony jest piękny tekst sztuki o rozstaniu się muzyka z pisarką, o rozpadzie tej oplekującej przyjaźni miłosnej, która na kilka lat przedłuża życie gasnącemu genialnemu gruzlikowi.

Scena w „Lecie w Nohant“ żyje muzyką; ale skoro muzyka jest poniekąd bohaterem utworu, nie wolno jej podawać w sposób natrętny, nużący, budzący u widza omal poczucie solidarności z niecierpliwymi sprzeciwami Maurycego, syna pani domu.

Scena w „Lecie w Nohant“ żyje klimatem domu George Sand, burzliwym i gorącym latem, nasyconym miłością subtelną i karczemną. Omyłki obsadowe powodują, że miłość jest przede wszystkim blada, udana, lub zagrana na fałszywej strunie, a klimat, ba, zjawiska atmosferyczne przekazywane są w stylu sztuczek z wiatrem, kołyszającym firanki w oknach. A skoro urok pałacyku w Nohant jest tak ważnym czynnikiem w akcji — nie wystarczyły też dekoracje, bez inwencji, naturalistyczne.

Chopin... Osobowość jego wypełnia dom, lato, scenę, mało znam utworów, w których wejście scenicznego postaci jest tak świetnie przygotowane, tak sugestywne. Czesław Wołłejko nauczył się grać Chopina prosto a z wewnętrznym żarem, nie rozwiewa iluzji ani geniuszu ani księżycowości artysty. Nie jego wina, że tekst Chopina jest chyba najslabszy w partyturze Iwaszkiewicza, że sceniczenie połączenie Chopina boskiego i Chopina ziemskiego tylko częściowo się udało, że wyłączność muzyki w życiu Chopina wychodzi chwilami bardziej maniakalnie niż genialnie.

George Sand... To postać z krwi i kości, usprawiedliwiająca określenie „Lata w Nohant“ jako komedii. Iwaszkiewicz nie lubi, nie cierpi George Sand, nie chciałby na niej zostawić suchej nitki, jakby osobiście wmlaszany w sprawy Chopina. Czyż nie odśiania z zadowoleniem nicosiści artystycznej George Sand, czyż jej nie unicestwia jako pisarki czasu i epoki? I czyż nie znęca się nad nią w nie-

samowitej scenie wyludzenia przez nią powozu od byłego kochanka, a wyludzenia przynajmniej walizy podróżnej?

A przecież George Sand nie jest w tym stadle gęsią u boku labedzia, ani harpią, wyniszczającą ariela. I to musi pokazać — choćby wbrew autorowi — aktorka, grająca panią baronową o męskim pseudonimie. Janina Romanówna nie chciała się uchylić od tego zadania i przynajmniej, że jej manierą wydaje mi się utrafić w osobowość George Sand; może dlatego, że patrzę na dziedziczkę Nohant poprzez kreację Marii Przybyłko-Potockiej? Sztuczność, afektacja, próba wyrastania ponad swe udołnienia — to chyba trafnie zaznaczone cechy George Sand (a przynajmniej takiej George Sand, jaką ukazuje Iwaszkiewicz). Faktem jest jednak, że piękna scena zegnania się z Chopinem jakby się gubiła pośród innych obrazów i sytuacji; i faktem jest, że rodzinne troski George przyciemniają jej społeczny rozsądek, któremu przecież mogłaby dać silniejszy wyraz w poźegnalnej rozmowie z Chopinem.

Przez pałacyk w Nohant przewija się sporo postaci. A więc najpierw dwoje dzieci pisarki i nieudanego barona. Ignacemu Gogolewskiemu z latwością przyszło podrobić wdzięk Maurycego, ale uknęło mu z pola widzenia chamstwo Maurycego, nie mniej ważne niż miły rozkapryszony, męskiego „kocłaka“. A czy słusznie było rolę Solange, czulego, egzaltowanego dziewczęcia, oddać w ręce Justyny Kreczmarowej, w

której twórczym profilem nie mieści się rola Solange, o czym nie trudno było wiedzieć?

Im dalej w las, tym... go-rzej. Jeszcze Jan Cieclerski, który użył swego wypróbowanego numeru niebó zbławowanych, nieco niemądrych ale i nieco sympatycznych arystokratów, jest jako Wodziński na miejscu w salonie pani Sand. Ale reszta? Z przedstawienia wypadły — by tak rzec — role Augustyny, Rozjerki, a także role malarza, rzeźbiarza i sąsiada. Zwłaszcza Józef Kozłowski był jakimś pocziwym safandulą, po studencku odgrzającym się jak on to zdobędzie ukochaną, a nie kutym na cztery nogi Clesingerem, postacią jedną z najsoczyściej narysowanych przez Iwaszkiewicza. Aż nam przykro.

Nieźle się za to prezentuje służba w Nohant: Jan u Chopina (Edward Kowalczyk) i Madeleine u pani baronowej (Ali-cja Pawlicka). Nawiasem mówiąc: należy pochwalić Wiercińską, że przywróciła do scenicznego życia umawianę się zakochanego w Solange Fernanda na schadzke z Madeleine; nie jesteśmy dziś tak wyspecjalizowani w społecznej o-błudzie, by szokować się zwa-ym przezrutek wiejskiego pa-nicze od eterycznych west-chnień do namacalnego flirtu. Może też warto z uznaniem wspomnieć o kostiumach George Sand i stroju myśliwskim Maurycego?... Ale oczywiście te czy jakieś inne, niewyliczo-ne tu drobniejsze zalety nie mogą zmienić ogólnej oceny przedstawienia, które świeci zimnym, pelgającym światłem.